

„PIERWSZY DZIEŃ WIOSNY „

Mateusz Cuthbert i jego kasztanka wolnym krokiem przejechali osiem mil dzielących ich od Szerokiej Rzeki. Śliczna była ta droga, wijąca się pomiędzy dwoma szeregami wygodnych domków; miejscami przecinała laski sosnowe o balsamicznym zapachu żywicy lub jakąś dolinkę, gdzie wyciągały swe gałęzie dzikie śliwy osypane puszystym kwieciami. Powietrze nasycone było zapachami niezliczonych sadów jabłkowych, łąki gubiły się w dali na horyzoncie w purpurze i opalu, a ptaszki śpiewały i wyciągały trele z taką radością, jaka się należy pierwszym dniom wiosny. Mateusz rozkoszował się tą przejażdżką we właściwy sobie sposób. Urok jej psuły mu jedynie chwile, w których musiał się kłaniać spotykanym kobietom. Na Wyspie Księcia Edwarda bowiem panuje zwyczaj kłaniania się każdej spotkanej osobie, czy to znajomej, czy obcej. Mateusz nie lubił kobiet prócz swej siostry Maryli i pani Małgorzaty. Podejrzewał, że te tajemnicze istoty w duchu śmieją się z niego. Właściwie miał zupełne prawo tak sądzić, gdyż powierzchowność jego była naprawdę dość dziwaczna: niezgrabna figura, długie, popielatosiwe włosy sięgające zgarbionych pleców i gęsta, ciemna broda, którą zapuścił mając lat dwadzieścia. Prawdę mówiąc, kiedy miał lat dwadzieścia, wyglądał tak samo jak obecnie, gdy doszedł do lat sześćdziesięciu. Tyle tylko, że wtedy nie był siwy. Przybywszy na stację nie zastał ani śladu pociągu. Przypuszczając, że przyjechał zbyt wcześnie, uwiązał klacz w podwórzu małego zajazdu i udał się na dworzec. Długi peron był prawie pusty. Jedyną żywą istotą była dziewczynka siedząca trochę dalej na stosie gontów. Skoro tylko Mateusz zauważył, że to dziewczynka, przemknął się obok niej jak najszybciej, nie patrząc nawet w tę stronę. Gdyby się jej przyjrzał, nie uszedłby jego uwagi pełen napięcia i wyczekiwania wyraz, jaki się malował w całej jej postaci. Widocznie czekała tu na kogoś czy też na coś, a że oczekiwanie było w tej chwili jedyną możliwą czynnością, oddawała się jej z całym przejęciem, na jakie się potrafiła zdobyć. Spotkawszy zawiadowcę stacji, zamykającego właśnie okienko kasy z zamiarem udania się do domu na wieczerzę, Mateusz spytał go, czy pociąg, przybywający o pół do szóstej, prędko nadejdzie. - Pociąg ten już przybył i odszedł pół godziny temu - odpowiedział zapytany. - Wsiadł zaś jeden tylko pasażer, który miał jechać do was, jakaś mała dziewczynka

„ZDUMIENIE”

— Dwalin, do usług — oświadczył, kłaniając się nisko.

— Bilbo Baggins, nawzajem — rzekł hobbit, zbyt zdumiony, by zdobyć się od razu na jakieś pytanie. Gdy milczenie, które potem zapadło, przedłużało się kłopotliwie, dodał: — Właśnie miałem sięść do podwieczorku; proszę cię, wejdź i napij się ze mną herbaty. — Brzmiało to może trochę oschle, Bilbo jednak miał jak najlepsze intencje. Cóż byś ty zrobił na jego miejscu, gdyby jakiś krasnolud nieproszony przyszedł do ciebie i powiesił swój płaszcz w twojej sieni, nie usprawiedliwiając się ani słowem?

Nie zabawili długo za stołem, ściśle mówiąc zaczynali dopiero po trzecim kawałku ciasta, gdy rozległ się znowu dzwonek, jeszcze głośniejszy niż poprzedni.

— Wybacz! — rzekł hobbit i pobiegł go drzwi.

„A więc jesteś nareszcie” — chciał zawołać, pewny, że tym razem ujrzy Gandalfa. Ale to nie był Gandalf. Zamiast niego ukazał się w progu bardzo stary krasnolud z białą brodą, w czerwonym kapturze; ten również skoczył skwapliwie w uchylone drzwi, jakby został zaproszony.

— Zaczynają się, jak widzę, schodzić — powiedział, spostrzegając na kołku zielony kaptur Dwalina, i powiesił w najbliższym sąsiedztwie swój, czerwony. — Balin, do usług — rzekł kładąc rękę na piersi.

— Dziękuję — rzekł Bilbo, któremu zdumienie dech zaparło. Nie była to wcale stosowna odpowiedź, lecz słowa „zaczynają się schodzić” zrobiły na nim wstrząsające wrażenie. Lubił gości, lubił jednak znać osoby przychodzące do jego domu i wołał też zapraszać je z własnej chęci. Mignęła mu okropna myśl, że ciasta może nie starczyć dla wszystkich, a wówczas on, jako gospodarz — znał bowiem obowiązki gościnności i gotów był ich przestrzegać, nawet gdyby okazały się bardzo bolesne — będzie musiał obejść się smakiem.

— Proszę, wejdź i wypij filiżankę herbaty — zdołał wyjąkać, nabrawszy tchu w piersi.

— Wolałbym małe piwo, jeśli ci to nie robi różnicy, zacny panie — rzekł siwobrody Balin. — Nie mam wszakże nic przeciw ciastu, zwłaszcza gdyby się znalazł kawałek placka z kminkiem.

— Znajdzie się niejeden! — Bilbo sam się zdziwił, słysząc swoją szybką odpowiedź, po czym, nie wiedząc kiedy i jak, skoczył do spiżarni po dwa piękne, krągłe placki, które upiekł wczesnym popołudniem, żeby mieć co przekąsić do poduszki.

Cuthbert i jego kasztanka wolnym krokiem przejechali osiem mil dzielących ich od Szerokiej Rzeki. Śliczna była ta droga, wijąca się pomiędzy dwoma szeregami wygodnych domków miejscami przecinała laski sosnowe o balsamicznym zapachu żywicy lub jakąś dolinkę, gdzie wyciągały swe gałęzie dzikie śliwy osypane puszystym kwieciami. Powietrze nasycone było zapachami niezliczonych sadów jabłkowych, łąki gubiły się w dali na horyzoncie w purpurze i opalu, a ptaszki śpiewały i wyciągały trele z taką radością, jaka się należy pierwszemu. Mateusz rozkoszował się tą przejażdżką we właściwy sobie sposób. Urok jej psuły mu jedynie chwile, w których musiał się kłaniać spotykanym kobietom. Na Wyspie Księcia Edwarda bowiem panuje zwyczaj kłaniania się każdej spotkanej osobie, czy to znajomej, czy obcej. Mateusz nie lubił kobiet prócz swej siostry Maryli i pani Małgorzaty. Podejrzewał, że te tajemnicze istoty w duchu śmieją się z niego. Właściwie miał zupełne prawo tak sądzić, gdyż powierzchowność jego była naprawdę dość dziwaczna: niezgrabna figura, długie, popielatosiwe włosy sięgające zgarbionych pleców i gęsta, ciemna broda, którą zapuścił mając lat dwadzieścia. Prawdę mówiąc, kiedy miał lat dwadzieścia, wyglądał tak samo jak obecnie, gdy doszedł do lat sześćdziesięciu. Tyle tylko, że wtedy nie był siwy. Prz

Wierzcie lub nie, lecz na tym świecie bywa, że zdarzają się rzeczy całkowicie dziwne i niezwykłe. Tak nieprzewidywalne, że gdy się komuś przytrafiają, nie od razu taka osoba wie, czy ma do czynienia ze snem, czy z jawą! I taki właśnie dylemat powstał w głowie pocziwego stolarza Gepetto, gdy kawałek drewna, który zamierzał przemienić w nogę od stołu, nagle zaczął żałośnie pisać i błagać, by darować mu życie! I gdy tylko stolarz brał do ręki siekierę, niesforny kawałek drewna wydawał z siebie niesamowite odgłosy. Wyobrażacie sobie podobną sytuację? Nic dziwnego, że stolarz Gepetto ze zdziwienia i przerażenia najpierw przetarł oczy i uszy (aby mieć niezbitą pewność, że zmysły go nie zwodzą), a gdy drewno wciąż wykrzykiwało ni to prośby, ni to groźby, awanturowało się, a na dodatek zaczęło podskakiwać, biedak nabrał ochoty by zniknąć na zawsze w masywie ziemi, albo po prostu wybiec z tego szalonego miejsca i poszukać sobie schronienia w jakimkolwiek innym zakątku świata! A jednak, jakiś wewnętrzny głos namówił go do zrobienia czegoś kompletnie przeciwnego. Sam Gepetto nie mógł się nadziwić, że oto jego własne ręce kompletują niezbędne narzędzia i zabierają się do strugania. Najpierw stworzył parę oczu, które natychmiast zaczęły się w niego bezczelnie wpatrywać. Następnie obdarował niedoszlą nogę od stołu nosem i ustami, czego natychmiast pożałował, ponieważ z ust tych wydobywać się zaczął nieprzyjemny, arogancki chichot, nieustający mimo groźnej miny Gepetta. Ale i praca stolarza nie ustawała i już niebawem oczom zmieszanego starca ukazał się drewniany pajacyk, o rozmiarze niedużego chłopca. Od razu Gepetto pomyślał o nim, jak o własnym dziecku, ponieważ takowego nigdy nie miał.

- Będziesz się nazywał Pinokio - oznajmił Gepetto synowi i ponieważ imię to nie napotkało sprzeciwu, tak właśnie zostało. I na chwilę w niedużym, ubogim pokoiku stolarza Gepetto nastał czas radości i dumy.

„Mary”

Mary lubiła z daleka patrzeć na swą matkę i znajdowała ją uroczą, ale nie znała jej prawie wcale, nic też dziwnego, że nie mogła jej kochać, ani tęsknić po niej, gdy ją straciła. I nie tęskniła zupełnie, a ponieważ była zawsze dzieckiem nader egoistycznym, przeto wszystkie swe myśli skierowała ku sobie, jak zresztą zawsze zwykła była czynić. Gdyby była starsza, może by przeraziła ją myśl, że została całkiem sama na świecie, ale przecież była jeszcze mała i inni o niej myśleli, sądziła zatem, że tak zawsze być musi. Chciała tylko wiedzieć, czy znajdzie się teraz między ludźmi miłymi, którzy będą dla niej grzeczni i pozwolą jej na wszystkie wybryki, jak to czyniła jej Ayah i reszta służby.

34

Wiedziała o tym, że nie pozostanie w domu pastora, gdzie ją na razie umieszczono. Nie życzyła sobie tam pozostać. Pastor był biedny, miał pięcioro dzieci, wszystkie prawie w równym wieku; sukienki ich były brudne, a dzieciaki kłóciły się ciągle i wydzierały sobie zabawki. Mary nienawidziła brudnego domu pastora i taka nieznośna była dla wszystkich, że po dwóch dniach żadne z dzieci nie chciało się z nią bawić. Drugiego zaraz dnia dali jej przezwisko, które ją wprawiało w furję.

35

Pierwszy pomyślał o tym Bazyli. Był to mały chłopczyk o blado niebieskich oczach i zadartym nosie i Mary cierpieć go nie mogła. Bawiła się sama pod drzewami, tak samo zupełnie, jak owego dnia fatalnego. Robiła klombiki z ziemi, ścieżki — a Bazyli stał w pobliżu i przyglądał się. Naraz zajęła go zabawa i podał projekt.

36

— Czemu nie ustawisz kupki kamieni, niby, że to są skały? — rzekł do niej. — O! tutaj, w środku — i pochylił się, by wskazać miejsce.

37

— Idź precz! Nie cierpię chłopców, idź precz! — wołała Mary.

38

Przez chwilę Bazyli był zły, potem zaczął się droczyć. Droczył się zawsze z siostrami. Zaczął około niej tańczyć i podskakiwać, śmiał się i śpiewał:

„Panno Mary, kapryśnico.
Odwróć zagniewane lico!
Czy w ogródku rosną kwiatki,
Maki, fiołki i bławatki?”